IGŁA I PIÓRO

(POWIASTKA).

napisał **Władysław S....**

I.

Przed kilkoma laty istniała na Starem Mieście w Warszawie, kamienica, podobno zupełnie przerestaurowana od owego czasu, którą podówczas lokatorowie i sąsiedzi mieli zwyczaj nazywać *potrzaskiem*.

Przezwisko to miało swój powód. Kamienica, jak wszystkie staromiejskie, była bardzo wysoka. O kominy jéj nie rozbijały się wprawdzie chmury, lecz gdy na którym z nich stanął kominiarz i przypadkiem rzucił okiem na rynek, to, lubo mu się nie kręciło w głowie, boć on do patrzenia na świat z wysoka przyzwyczajony aż nadto, ale ludzie na rynku zdawali mu się tacy mali, tacy drobni jak lalki, a najwspanialsze stragany pań zieleniarek i maślarek, wyglądały jakby jakie z tektury poklejone cacka.



Rynek Starego Miasta

Gdybyśmy stając na chwilę na stanowisku owego kominiarza zechcieli się przyjrzyć téj kamienicy, jak się jéj ptaki przelatujące pod chmurami przyglądać mogły, oko nasze utonęłoby w niezgłębionéj przepaści kwadratowéj, ze wszech stron otoczonéj dachami, które niby bastjony jakiéj niezdobytéj warowni, jeżyły się gęstemi, a wiecznie dymiącemi kominami. Przepaść ta kwadratowa, któréj bok każdy miał zaledwie ośm łokci długości, stanowiła tak zwane podwórko.

Chcąc z dna tego podwórka przekonać się, że niebo ma barwę błękitną, trzeba było podnosić głowę w górę, aż kręgi w szyi trzeszczały, i jeżeli dym z kominów zbyt gęstemi nie wznosił się kłębami, można było ujrzeć kwadratowy wycinek tego widnokręgu, który jest tak majestatycznym, gdy go na równém polu, lub na wodzie w całym ogromie niczem nie zasłoniętym podziwiamy.

Przepaść ta zgubną była dla biednych wróbli, zwłaszcza dla tych, co niedawno pod o k i e m rodzicielskiem siły swych skrzydeł próbować zaczęły. Gdy który z nich, bądź z ciekawości, bądź z niedoświadczenia w ł a ś c i w e g o swemu wiekowi zabłąkał się między cztery brudne ściany wielopiętrowego d o m o s t w a, mógł tam grób znaleść niechybnie. Zbyt mała obszerność podwórza niedozwalała mu rozwinąć lotu, a do wzniesienia się prostopadle w górę brakło mu, albo sił albo świadomości, że taka tylko, i to bezzwłocznie przedsięwzięta rejterada mogła być jedynie zbawienną. Nie znając pruskiéj dewizy: „mocny cofa się z odwagą", biedne ptaszyny próbowały odwrotu trwożliwie i ledwie wzniosły się o parę łokci, spadały głębiéj, trzepocząc skrzydełkami i tłucząc się o ściany, a nieśmiejąc spocząć na framugach okiennych, zkąd ich odpłaszał widok ludzi patrzących na ich szamotanie się i rozpacz. Uporczywa walka z losem zawsze kończyła się jednako... Biedne ptaszę opadało zmordowane na bruk, gdzie nań czekała gromada bębnów nie mająca zwyczaju przybyszom takim bardzo przy-

jemnéj dawać gościnności. W ich rękach kończył wróbel swoje pełne widoków i nadziei życie, a biedna matka w opuszczonem gnieździe kwiliła z żalu po stracie pierworodnego....

Ztąd kamienica dostała nazwę potrzasku.

Ile piętr miała ta kamienica, ile na każdem piętrze było mieszkań, ilu sublokatorów trzymał każdy lokator i z ilu osób wreszcie składała się rodzina każdego lokatora i sublokatora, wyliczać nie będziemy, nie chcąc ażeby pewieść nasza wyglądała na statystykę którego z małych księstw niemieckich. Potrzask stanowił jakby miasto osobne, którego rynkiem było podwórze, miejscem przechadzek, spotkań i spoczynku schody, ciemne aż do drugiego piętra, a wyżéj oświetlone okienkiem umieszczonem w dachu, ulicami korytarze, a ratuszem, sądem i urzędem podatkowym mieszkanie pani gospodyni.

W mieście tem mieszkali ludzie wszelkich stanów, wszelkich zajęć, ustopniowani co do zamożności wedle piętr jakie zajmowali, dobry byt mieszkał niżéj, nędza zajmowała wyżyny. Potrzask nie był, jak widzimy, urządzony według zwykłéj normy społeczeństw ludzkich, bo nędza trzymała w nim górę.

Nie będziemy oprowadzali czytelnika po wszystkich piętrach i lokalach téj kamienicy. Byłaby to przechadzka ciekawa może, a naucząjąca z pewnością, brak nam jednak nici Arjadny, z którą byśmy mogli bezpiecznie i bez zabłądzenia obejść wszystkie zakątki tego zabytku dawnéj architektury, zbudowanego na wzór labiryntu, w ten sposób, żeby żaden z lokatorów nie mógł sobie zdać sprawy kto obok niego, kto pod nim, a kto nad nim mieszka.

Wejdziemy wprost na czwarte piętro, na którem w mnogiéj liczbie innych lokatorów mieszkał także pan Paweł, kandydat na aplikanta w jednem z biur rządowych.

Kandydat na aplikanta!... dziwnie to brzmi doprawdy, a jednak w istocie tak było. Nie wiemy czy dziś jeszcze, ale w ówczas gdy się powieść nasza zaczyna, kandydaci na aplikantów istnieli rzeczywiście, choć nielegalnie i taki był natłok aspirantów do biur, pozycja urzędnicza tak różowo się zdawała uśmiechać wszelkiéj, kończącéj szkoły młodzieży, iż kto został zapewnionym, że się za kandydata na aplikanta uważać może, mniemał, że już o przyszłość kłopotać się nie ma czego, bo ma pozycję w świecie najpewniejszą.

Jaka to była pozycja, dość było spojrzeć na pana Pawła, aby odgadnąć.

Chłopiec młody, przystojny, brunet, dwudziestoparoletni, bladéj acz zdrowéj cery, żywego oka, gęstego zarostu z którym by mu było do twarzy, gdyby go nie golił starannie, stosując się już zawczasu do przepisów, które go dopiero jako rzeczywistego aplikanta obowiązywać miały, zdał się stworzonym do czynniejszego życia, jak zastolikowa wegetacja. I powinien był nawet obrać inną drogę, nie myśleć o urzędniczéj karjerze,— miał do tego wszelką możność, wszelką swobodę— był sierotą. Żadna ciocia nie mogła mu powiedzieć, że praca ręczna hańbi chociaż chléb daje, a stanowisko urzędnicze uzacnia, chociaż nie raz Tadeusza śpiewać każe; żaden wujaszek nie wmawiał w niego, że zarobkując w inny sposób na życie i utrzymanie splami herbowe tradycje przywiązane do swojego nazwiska; więc nie było powodów, któreby pana Pawła od innéj karjery odciągały. Nie było także względów, któreby go szczególnie do biura nęciły. Żaden wysoki dygnitarz nie był jego ojcem chrzestnym i nie zapewniał mu protekcji, słowem nie miał najmniejszego pojęcia o sztuce chodzenia koło interesu i mimo to wszystko postanowił odbywać nowicjat na aplikanta!...

Biedny chłopiec!

Wykrzyknik ten wyrywał się z ust wszystkich, co nad jego położeniem zastanowić się mieli ochotę, czy jednak wielu było takich, wątpimy.

Powiedzieliśmy już, że pan Paweł był sierotą, nie tylko bez rodziców, lecz nawet bez cioć i wujaszków. Oddany do szkół jeszcze za życia ojca, od wejścia do czwartéj klassy zaczął już pracować na siebie. Pragnął zarabiać korepetycjami, lecz mu je dawano niechętnie, będąc bowiem zwykle najmłodszym w każdéj klasie, nie potrafił nadać sobie dostatecznéj powagi z uczniami swemi z klass niższych, często starszemi od swego korrepetytora. Przytem koledzy umieli sprzątać mu miejsca z przed nosa, a gdy się znalazło jakie, to tak mu trudno było wydobyć zapłatę, jak początkującemu literatowi sprzedać rękopism, któremu z szanownych członków wszechpotężnéj korporacji księgarskiej.

Zarabiał zatem piórem.... nie autorskiem, broń Boże! lecz tem zwyczajnem piórem kopisty, płatnego od arkusza, które do chwili wynalezienia druku było tak popłatnem i tak zyskownem narzędziem. Pisał ślicznie i wykończał robotę punktualnie, więc klijentela jego, nieliczna wprawdzie była jednakże stałą, brał tanio, taniéj od innych, więc mu chętniéj niż innym dawano robotę, a że pisał bardzo szybko, więc mógł jakoś wyjść na swoje.

Skrobiąc tak piórkiem po papierze od lat dziesięciu, pan Paweł wyskrobał sobie najprzód patent z ukończenia klass siedmiu, następnie niezbite przekonanie, że dzięki swemu pismu, nigdzie prędzéj jak w biurze karjery nie zrobi...

W tem przekonaniu zaczął do różnych Władz kołatać, lecz wszędzie odprawiano go z kwitkiem. Byłoby to może inaczéj, gdyby się brał do rzeczy w sposób właściwy, ale biedny chłopczyna nie wiedział do kogo się udać i nieraz prosty woźny kancelaryjny oświadczał mu uroczyście, że miejsca dla niego nie ma, a pan Paweł odchodził z niskim ukłonem, głęboko zasmucony, lecz jeszcze głębiéj przekonany, że już nie było żadnéj rady, kiedy taki dygnitarz nie kazał mu mieć nadziei...

Jednego razu przecież stało się inaczéj.

Wybierając się do którejkolwiek z Władz kołatać o miejsce, pan Paweł zwijał zwykle w trąbkę swój patent szkolny, metrykę, świadectwo szczepionéj ospy, akt zejścia ojca i poświadczenie opiekuna (naówczas nie był jeszcze pełnoletni), że przeciw przyjęciu go do biura nie zachodzi żadna z jego strony przeszkoda, i był uparcie przekonanym, że przy pomocy tych dokumentów zdoła wynaleść sobie miejsce.

Niepokoiło go tylko, czy te wszystkie papiery są w dostatecznym komplecie.

— Czy tylko tych dowodów dosyć będzie?— mówił do siebie. Hm! zdaje mi się że dość, bo nigdzie nawet moich dokumentów przeglądać nie chcą.... Zdałoby się może świadectwo parafijalne, że obowiązków religijnych według obrządku rzymsko-katolickiego dopełniam?... Nie, to chyba zbytecznem... Ale, ale, na śmierć byłbym zapomniał mojéj książeczki legitymacyjnéj!....

I książeczka legitymacyjna przybyła do zwoju dowodów.

Zaopatrzony w te kwalifikacje, bez śniadania, bo go nie jadał, bez płaszcza, bo go nie miał, w letnim wytartym surduciku, pomimo chłodnego dnia jesiennego, puścił się pan Paweł w drogę i przyszedłszy wreszcie na drugi koniec miasta, skoro się znalazł przededrzwiami, jeszcze przed ujęciem klamki, zdejmował nisko czapkę i odzywał się do pierwszego spotkanego woźnego.

— Proszę pana, ja chciałbym wejść na aplikację do tego biura.

Po wielu biórach różni woźni rozmaitym tonem i na rozliczny sposób odpowiadali mu już na to życzenie, tak wprost i bez ogródek zaniesione przed ich majestat. Te odpowiedzi były zwykle zniechęcające, urągające, złośliwe.

Woźny z kommissji spraw wewnętrznych, powiedział mu po prostu:

— Eh! proszę pana, za wysokie progi...

W kommissji skarbu grono posługaczy zebrało się, przeglądali jego papiery, debatowali, aż nareszcie jeden zadecydował:

— Fatałaszki, paniczu,"z tem wszystkiem o skarbie, ani myśléć. Ja to mówię, a jak ja powiem, to i sam pan dyrektor inaczéj nie powie, daleko z tém nie zajedzie; do magistratu, albo do Izby obrachunkowéj co najwięcéj.

W Izbie obrachunkowéj odźwierny zaraz z bramy odprawił go z kwitkiem, na poczcie dostał się do któregoś z urzędników, ale ten wprost oświadczył, że to czyste nasłanie z tą młodzieżą, co ledwie z trzeciéj klassy przez piec do czwartéj przelazłszy, już by chciała w rządzie krajowym zasiadać, a tymczasem szewcy i krawcy na brak czeladników się skarżą.

Słysząc takie i tym podobne odpowiedzi, ściskało się serce panu Pawłowi, postanowił jednakże obejść wszystkie biura, nim się u szewców i krawców, o wakujące miejsca pytać zacznie.

Gdy zatem wszedł do przedpokoju piętnastéj już może Władzy i objawił swoje życzenie jakiemuś poczciwemu staremu woźnemu, który grzał się pod piecem, jedząc serdelki, uradował się niezmiernie na następującą odpowiedź:

— A!... a!.... na aplikacją.... to jest panie.... dobrze.... właśnię to jest.... niczego panie....

— Więc mogę się spodziewać, że tutaj dostanę miejsce?

— A!... a!... tak... właśnie to jest... na aplikacją... niczego panie,— prawił wciąż woźny przegryzając serdelkiem.

— Do kogóż się mam udać?

— Ba! ba! ba!... niczego panie. W tém jest sęk... do kogo?... właśnie to jest.

Nadzieje pana Pawła bardzo jakoś maleć poczęły.

— Nie mógłbyś mi pan powiedzieć, od kogo przyjmowanie aplikantów do tego biura zależy? dopytywał się, pragnąc z nie zbyt wymownego woźnego wydobyć kategoryczną odpowiedź.

— Zależy... powtórzył woźny,— właśnie to jest!... I pan chcesz być aplikantem i nie wiesz od kogo to zależy!.... niczego panie !.... A od kogożby właśnie jeżeli nie od pana naczelnika?....

— Czy nie mógłbym się widzieć z panem naczelnikiem?

— Ta! ta! ta!.... niczego panie.... może to być.... pan naczelnik o jedenastéj dopiero przychodzi.

— Więc mam przyjść o jedenastéj?

— Właśnie to jest... że pan naczelnik jak przyjdzie do biura to interesantów sam nie przyjmuje.... ale.... niczego panie.... chodź pan zemną.

— Serdelek właśnie się skończył, szanowny woźny miał czas i wprowadził pana Pawła do biura.

Kancelarja już była pełną. Młodzi aplikanci spoglądali na przybysza ciekawie, on również z ciekawością nieśmiałą rzucał okiem

na tych, których już za przyszłych swoich kolegów uważał.

Po przejściu kilku obszernych pokoi, znalazł się pan Paweł w małéj stancyjce, gdzie jedno tylko znajdowało się biurko. Przed biurkiem siedział podżyły już człowiek, niebardzo miłéj fizognomji, nieco łysy, z czołem pomarszczonem, małemi siwemi oczyma, dużym garbatym nosem, pulchnemi policzkami, dużemi faworytami i małym podbródkiem; w wice-mundurze, z piórem za uchem i kolczykiem w uchu.

Wprowadziwszy pana Pawła, woźny wymówił w rodzaju rekomendacji:

— Właśnie to jest... ten pan... co chciałby być aplikantem w naszém biurze, jeżeli łaska pana referenta.

Pan Paweł wybąkał kilka słów o swojéj gotowości do pracy i zaufaniu w łaskawe względy zwierzchników, na które starać się będzie zasłużyć.

— Dobrze młody człowieku,— odpowiedział referent,— ale cóż umiesz?

— Skończyłem szkoły,— rzekł pan Paweł,— mam patent i inne dowody.

To powiedziawszy chciał rozwijać swe dokumenta z nieśmiałością, poczynał bowiem żałować, że świadectwa dopełnienia obrządków religijnych nie dołączył.

— Mniejsza o patent, odrzekł referent,— są tacy, co mają patenta, a bazgrzą jak kura patykiem. Pokaż jak piszesz.

Pan Paweł ujął za pióro i chciał nakreślić słów kilka.

— Nie tak!.... nie tak!.... wołał referent,— a to znowu!... pisać stojący!... to tylko na biurku odpowiedniem można. Przy takim stole potrzeba siedzieć, inaczéj popsujesz rękę. Porządek i forma przedewszystkiem.

Pan Paweł usiadł i zaczął pisać. Po kilku chwilach oddał referentowi kilka wierszy.

— Ho! ho! młody człowieku,— rzekł pan referent przyjrzawszy się pismu przez okulary,— ho! ho! z takiem pismem zrobisz karjerę na urzędzie, a przedewszystkiem możesz być pewnym przyjęcia do naszego biura.

Pan Paweł chciał podskoczyć ze szczęścia, opamiętał się przecież i podskok w ukłon zamienił.

— Nim jednak zostaniesz aplikantem, mówił daléj referent,— trzeba być cierpliwym. My w naszym biurze mamy przepisane dwunastu aplikantów; wszystkie te miejsca są zajęte. Jest nadto dwudziestu czterech kandydatów zapisanych do księgi, którzy wchodzić będą po kolei na aplikacją skoro się wakans otworzy. Rozumiesz.

— Rozumiem, panie naczelniku.

— Otóż nie ma zwyczaju,—objaśniał wciąż referent,— zapisywać więcéj kandydatów nad dwudziestu czterech, dla tego dzisiaj zaraz zapisanym być nie możesz. Ale wkrótce miejsce się znajdzie. Rozumiesz?

Pan Paweł coraz lepiéj rozumiał, że to nie tak łatwe żądanie zostać nietylko aplikantem, lecz chociażby kandydatem na aplikanta.

— Tymczasem,— dysponował referent,— będziesz przychodził do biura dla obeznania się z czynnością, tylko regularnie od dziewiątéj do trzeciéj, temi tu drzwiami co wprost do tego pokoju prowadzą.

— Zastosuję się, panie naczelniku.

— Pensji naturalnie brać nie będziesz, ani służba liczyć ci się nie będzie. Wiedziałeś o tém?

— Wiedziałem.

— Siedzieć będziesz przy tym stole i robić to co ja wskażę. Teraz ruszaj do domu, a jutro punkt o dziewiątéj, żebym już zastał przy biurku, bo u mnie punktualność pierwsza rzecz.

Tak się odbyła instalacja pana Pawła.

Odtąd codziennie o dziewiątéj przychodził nasz bohater do biura, drzwiami prowadzącemi wprost do pokoju referenta, siadał przy stoliku i pracował za darmo przez sześć godzin, pod pozorem, że potrzebuje się wprawiać w to... czem od lat tylu na chléb i utrzymanie dla siebie zarabiał,— w przepisywanie.

Sześcio-godzinna bowiem robota, któréj pan referent bezustannie i gorliwie nadliczbowemu kandydatowi na aplikanta dostarczał, i któréj wykonania pilnować nie potrzebował, gdyż kandydat był niesłychanie pilnym i pracowitym, składała się wyłącznie z przepisywań. Pan Paweł dziwił się nawet, że to co mu dawano do kopjowania nie miało nieraz żadnego związku z zajęciami biura, w którem pracował, że nieraz dostawały mu się do przepisania jakieś akta prywatnego procesu, dokumenta sądowe, anszlagi i warunki licytacyjne do subhastacji, które gdzieindziéj miały mieć miejsce, a nawet czasem komedje i dramata tłómaczone, których tytuły późniéj na afiszach spostrzegał, lub powieści i artykuły historyczne, które niedługo ukazywały się po dziennikach, albo świeżemi różnobarwnemi okładkami uśmiechały się do przechodniów z okien księgarni... Biedny kandydat nie mógł pojąć, jak przepisując takie rzeczy można się obeznać ze służbą, przepisywał jednak bez wytchnienia, z cierpliwością nieopisaną, pewny, że tym sposobem skarbi sobie względy Władzy i wrota do karjery otwiera.

Ciężko mu jednak było bardzo wstąpić w te progi do których wzdychał, i których podwoje od chwili swéj instalacji już za uchylone uważał.

Mijał miesiąc za miesiącem; pan referent nic mu więcéj nie mówił, jak tylko to, że

niedługo rzeczywistym aplikantem zostanie, a tymczasem biedny kandydat nie miał nawet szczęścia przypatrzyć się z bliska tym szczęśliwcom, co już rzeczywistemi aplikantami byli, gdyż pan referent stanowczo wymagał unikania stosunków z temi dygnitarzami w zarodku i sumiennie pilnował, żeby pan Paweł przychodził wprost do jego pokoju, a do właściwéj kancelarji nie zaglądał.

Było to dziwactwo pana referenta zapewne.

II.

Po sześciu godzinach pracy mającéj zapewnić mu przyszłość, musiał się biedny kandydat z teraźniejszością ułatwiać. Prowadził zatem w domu rzemiosło kopisty i, rozumie się, bardzo często o suchym chlebie przepędzać musiał te nieliczne, jak sądził, dnie, które go od zaszczytnéj pozycji w świecie odgradzały.

Nie łatwem było zadaniem oddawać się szlachetnéj sztuce przepisywania na czysto w mieszkania p. Pawła, stanowiła je bowiem przystawka z desek, naprędce sklecona, zajmująca jeden z kątów sieni czwartego piętra, mająca drzwi dotąd jeszcze patrjarchalnym obyczajem zmykane na skobel i kłódkę, oraz cztero-szybowe okienko, które wychodziło nie na ulicę, lub podwórko lecz na schody, i otrzymywało cząstkę światła dziennego taką tylko, jaka przez okna w dachu zakraść się do niego mogła.

W téj to komórce pięć może kroków długiéj, tyleż lub mniéj nieco szerokiéj, stało łóżko posłane twardym siennikiem i małą poduszką, pokryte powielekroć łataną kołdrą; stolik drewniany schlapany atramentem, krzesło wyplatane niegdyś, jak o tem szczątki trzciny w siedzeniu świadczyły, i kuferek niewielki, służący zarazem za umywalnię.

W takiéj komórce co dzień wróciwszy z biura, zasiadał pan Paweł i przepisywał często do późnéj nocy. Z tego niewykwintnego posłania budził się rano, i znów zasiadał do stolika i pisał do wpół do dziewiątéj, a jeśli było święto— przez dzień cały.

Myślicie może, że ta żelazna praca, to wyrzeczenie się wszelkiéj rozrywki, wszelkiego spoczynku, wszelkiego zbytku, dawało mu choć tyle, ile potrzeba by nie wychudnąć z głodu, by nie psuć oczu przy dwugroszowéj łojówce, lecz zdobyć się na lampę, albo stearynę, i by mieć choć cokolwiek grosza na przypadek choroby lub nieszczęścia?....

Nie!

Pióro w ręku przepisywacza, ba! i w ręku autora nieraz, na takie rzeczy wystarczyć nie może.

Gdyby miał codzień obiad, choćby *pod papugą*, pan Paweł nazwałby się sybarytą; gdyby miał ciepłą odzież w zimie, a nieprzetartą do podszewki w lecie, mniemałby że jest pieszczochem szczęścia; gdyby buty jego zawsze wolne były od wentylatorów w czasie wiatru, a w czasie słoty nigdy zbyt gościnności nie okazywały dla błota, mniemałby że mu nic do szczęścia nie braknie, że go los obrał za faworyta i aksamitną dłonią swoją głaszcze.

Niestety! pan Paweł nie mógł się nazwać ani sybarytą, ani pieszczochem szczęścia, ani faworytem fortuny. Na los jednakże nie narzekał; z wiarą młodą w przyszłość, dolę swą widział w postaci niebotycznéj kolumny, któréj piedestał stanowiła kandydatura na aplikanta, a któréj szczytem była posada, dająca prawo do emerytury; jadł chléb suchy, pił wodę, psuł oczy nad przepisywaniem, i nie czuł się nieszczęśliwym w swojéj samotni, bo mu ją zaludniały błogie i rozkoszne nadzieje.

Od pewnego jednakże czasu w jednostajnem życiu pana Pawła nastąpiło pewne, maleńkie urozmaicenie.

Dotąd, gdy usiadł do roboty nie miał zwyczaju nigdzie wodzić oczyma, chyba z oryginału na kopję i z kopji na oryginał. Teraz niekiedy spoglądał w czteroszybowe okienko, wtenczas zwłaszcza, gdy słyszał, że ktoś wchodzi na górę; albo schodzi z góry. Wyznać należy, że i téj przerwy nie robił wtedy, gdy doń echo przynosiło skrzypienie butów, albo odgłos ciężkiego chodu mężczyzny. Za to nie zaniedbywał nigdy podnosić głowy, gdy doń doleciał głuchy szelest lekkich kroków jakiéj młodéj a zwinnéj sąsiadki. Często bardzo gdy ujrzał kto przychodzi, obojętnie zwracał oczy na papier, ale czasami, zwłaszcza gdy śpiew towarzyszył wchodzeniu, patrzył za przechodzącą, i choć mu albo na stromych wschodkach wiodących na poddasze, albo na wschodach niższych zniknęła, pozostawał chwil kilka z oczyma wlepionemi w szyby i gdy sobie przypomniał o robocie, to nim się do niéj zabrał na nowo, raz a czasem dwa razy wzdychał głęboko.

Miewało to miejsce od niedawna, a zaczęło się jakoś od tego czasu, gdy pan Paweł trzeci rok kandydatury na aplikanta w biurze swojem rozpoczynał i gdy na poddasze, pompatycznie przez właścicielkę domu piątem piętrem zwane, wprowadziła się nowa lokatorka.

Była to siedmdziesięcioletnia blisko staruszka z siedmnastoletnią wnuczką.

Spekulantka natura, która niczego ludziom na własność dawać nie zwykła, lecz wszystkie swoje dary w dzierżawę im tylko wypuszcza, pokończyła już z babką prawie wszystkie kontrakta dzierżawne. Nie było włosa na jéj głowie staroświeckim czepcem okrytéj; wzrok jéj oddawna nie chciał służyć do rozpoznawania przedmiotów, nawet przy po-

mocy okularów, choć zwykła była brać do rąk książkę od nabożeństwa i machinalnie przewracać jéj kartki, klepiąc ojczenasz i zdrowaśki; słuch stępiał, pamięć odbiegła.... Prawą nogę sparaliżowaną przed dziesiątkiem lat wlokła za sobą powoli, z trudnością i postękiwaniem.

Za to wnuczka cieszyła się w całéj pełni wszystkiemi podarkami szczodréj w wiośnie życia przyrody. Gdy się przeglądała w lusterku, widziała twarz pociągłą, gładką i białą, przystrojoną słabym rumieńcem, okoloną puklami blond włosów, widziała oczy niebieskie, pełne życia i śmiejące się do życia, brew równą i wdzięcznie zaokrągloną, nosek niewielki, a prześlicznie narysowany, i z całością twarzyczki w dziwnie piękněj zostający harmonji, usta małe, karminowéj barwy, z poza których niekiedy ukazywały się dwa rzędy ząbków. tak systematycznie ułożonych, jakby wyszły z pod ręki najbieglejszego sztukmistrza.

Nie potrzebujemy mówić, że babka i wnuczka były biedne,— nie mieszkałyby na poddaszu. Całem ich utrzymaniem, przy niedołęstwie babki— kaleki, była praca siedmnastoletniéj Maryni, a narzędziem drobném téj pracy, co dwojgu istotom byt zapewniała, była igła.

Wkrótce jakoś po wprowadzeniu się nowych lokatorek, pan Paweł spotkał się z Marynią na schodach, spotkał się i stanął zdumiony, uchylając czapki mimowolnie.

Marynia wesołem skinieniem głowy odpowiedziała na ukłon grzecznego sąsiada i pobiegła do siebie, a pan Paweł stał chwilę i spoglądał za nią.

To postąpienie naszego bohatera byłoby zapewne śmiałe, gdyby nie było tak niezgrabne.

Życie pana Pawła nie było obfite w sposobności widywania kobiet i mówienia z niemi. Walcząc z twardym losem, zajęty pracą, nie miał on czasu pomyślćć jeszcze o tém, że istnieje druga, młodsza, piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego. stworzona po to, żeby pierwszéj, starszéj i brzydszéj, oczyma swemi, niby gwiazdami, na drodze życia przyświecała.

Ale natura ma swoje prawa; i oczy kopisty, które dotąd tylko po mniéj lub więcéj nabazgranych rękopismach się błąkały, zaczęły mimowolnie czytać w oczach Maryni i spostrzegły się prędko, że w nich najmniejszego błędu ortograficznego, ani kaligraficznego nie było.

W parę dni potém, spotkawszy się powtórnie sąsiad z sąsiadką prócz ukłonu zamienili „dzień dobry”.

W tydzień, Marynia powracała do domu w czasie deszczu i pan Paweł miał sposobność powiedzieć:

— O! mój Boże, jak pani zmokła!

We dwa tygodnie młodzi sąsiedzi byli już na dobre znajomi, rozmowy ich jednakże dosyć rzadkie, nigdy nie wychodziły za zakres obserwacji meteorologicznych, narzekań na zmęczenie po wschodach i tym podobnych stereotypowych uwag. Prawda, że kiedy pan Paweł odrywał oczy od pisania, na odgłos kroków dziewczęcia, gdy ją spostrzegał i kłaniał się jéj w przelocie i patrzył za nią gdy zniknęła, to oczy jego jeszcze coś więcéj mówiły, ale usta jakoś na żaden sposób téj wymowy spojrzenia, na język polski przetłomaczyć nie umiały.

Poczciwy kopista, nowicjusz w sztuce kochania, nietylko nie mógł na żaden sposób wymyślić jakimby sposobem daléj w takiéj sprawie dojść było można, ale nawet nie wiedział, jaką drogą możnaby się dowiedzieć o niéj czegoś więcéj, nad to, że ładna, boć to już samo w oczy biło.

Za to Marynia nierównie była przebieglejsza. Od sąsiadek, nie bardzo potrzebujących, żeby je ciągnięto za język, dowiedziała się z łatwością całéj historji pana Pawła, napisanéj zresztą na wytartych połach jego dawno przenicowanego tużurka.

I zadumała się dziewczyna, tak historja młodego kandydata była do jéj własnéj podobną.

I ona także była sierotą, bez innéj rodziny, oprócz niedołężnej babki, i ona także, i to od lat kilku, pracować musiała na utrzymanie, bojować z biedą, wchodzić w układy z nędzą, w tranzakcje z żołądkiem, kłócić się z poduszką o każdą godzinę snu, ze zmęczeniem o każdą chwilę spoczynku....

I ona także za narzędzie pracy mogła mieć jedynie, najniewdzięczniejsze dla płci swojéj narzędzie.

Córka niezamożnego urzędnika, po stracie ojca i matki pozostała na łasce losu i po krótkim namyśle wystąpiła z nim w zapasy, pragnąc wywalczyć sobie byt. Za życia rodziców otrzymała pewne wykształcenie, niedostateczne jednak, żeby go drugim udzielać mogła; uzupełniać go niebyło za co, ujęła więc za to, co każda kobieta umie, i igłą zarabiała na byt swój i babki.

Nie łatwy to był zarobek, wystarczał jednak, tak jak panu Pawłowi, na przewleczenie bytu aż do lepszych czasów, bo Marynia jak Paweł wierzyła, że przyjdą dla niéj lepsze czasy, i prawie takie same jak on snuła plany.

Nie marzyło się jéj o bogatem zamęściu. Zbyt mało miała styczności ze światem, żeby ją obałamucić mogły marzenia tego rodzaju. Marzyła o wywalczeniu skromnego bytu pracą i wydoskonaleniem się w zawodzie który obrała. Wierzyła, że jéj igła, przynosząca

bardzo mało, póki tylko zwyczajne roboty wykonywać potrafiła. zapewni jéj byt dobry, gdy się nauczy wszystkiego, co tem drobnem narzędziem wykonywać można.

I jak pan Paweł aplikacji, poczęła szukać zakładu, w którymby mogła znaleść— przyszłość.

Po dość długich staraniach dowiedziała się o pewnéj pani, która, jak jéj zaręczano, mogła jéj ułatwić pomieszczenie w jednym z pierwszych magazynów Warszawy, gdzie po jednorocznéj nauce dadzą pensję, zrazu czterdzieści groszy, potem dwa złote, a wreszcie pół rubla dziennie, i zkąd wychodzące panny idą potem jako zawiadowczynie lub panny starsze do innych zakładów i za mniéj już mozolną pracę, mają zapewnione wcale nie złe utrzymanie.

Z bijącem sercem pośpieszyła Marynia na Podwale, gdzie mieszkała owa pani i zadzwoniwszy do drzwi, długo stała nim jéj otworzono, albowiem owa dama kłóciła się podówczas właśnie ze służącą, a przeto obie dzwonka usłyszeć nie mogły.

Kiedy wreszcie stanęła przed ową głośną z filantropji i miłego obejścia osobą, zrażona i spłoszona dosłyszanym wyskokiem nie bardzo delikatnéj sprzeczki, słowa zrazu wymówić nie mogła.

Dama przerwała pierwsza milczenie.

— A czego to *wasanna* chcesz?— zapytała.

Marynia opowiedziała w jakim celu i na jakiéj zasadzie do niéj przyszła, rumieniąc się po uszy na dźwięk wyrazu który wyszedł z użycia i nabrał tak pogardliwego znaczenia, że jużby może proste „ty” wolała.

— Ho! ho! proszę! do magazynu pani X,— odrzekła filantropka,— i tak zaraz! A nie łaskaby poczekać trochę, hę? co?

— Jeżeli pani rozkaże, poczekam.

— Ja tobie nic do rozkazywania nie mam,— zawołała zaperzona dama,—taka młoda, a taka uszczypliwa, gadzina!.... fe! wstydź się!

Biedne dziewczę, ani wiedziało zkąd je taka reprymenda spotyka i stało pomieszane i milczące.

— Widzisz jak ci buzia zmiękła, hę!... kto chce pracować, pokory najprzód uczyć się powinien, pokory!... Pokorne ciele dwie matki ssie... pokora niebiosa przebija.... Wiesz o tém?... No! ale mniejsza o to, bo ja tam gniewać się nie potrafię. Gadaj, co umiesz?

— Szyć,— wybąknęła nieśmiało Marynia.

— Szyć, tylko szyć,— prawiła dama,—i to jeszcze Bóg wie jak.... może tylko ścierki obrębiać!.... A haftować to nie? a szydełkiem to nie? a krajać to nie? a atłaskiem to nie?....

— Trochę,— również bojaźliwie szepnęła bohaterka nasza.

— Trochę, to tyle co i nic. I jakże ty chcesz, żebym ja taką co nic nie umie, miała rekomendować do takiego magazynu? Jabym potem oczów ludziom pokazać nie śmiała?...

— Ja myślałam, że tam się uczyć będę.... bezpłatnie.

— Tyś myślała!... ona myślała... patrzcie państwo... i mówi że bezpłatnie... właśnie by też kto płacić myślał... to mi się podoba! to doskonałe! to dopiero!...

Marynia myślała już tylko o tem, jakby się co najprędzéj wydostać od téj krwistéj osoby, co tak straszną miłością ludzkość ukochała, że, aż się trzęsły ściany od téj miłości okrzyków.

— Przepraszam panią,— zaczęła, chcąc tym sposobem pożegnać wielce dobroczynną osobę.

— Lepiéj głupstw nie gadać i nie przepraszać, powiadam ci moja mała. Ja widzisz jestem dobra i nigdy się nie gniewam, to też zrobię co mogę dla ciebie....

— Byłabym pani nieskończenie wdzięczną....

— Jakto byłabyś?... patrzcie no ją!... mówi „byłabym”... to dopiero!.... Mówi się: będę, będę, będę!... mówi się: jestem, jestem!... no gadajże....

— Będę! jestem!— powtórzyła Marynia z przerażeniem spoglądając na pasjonatkę.

— Tak, będziesz, jesteś... źle wychowana dziewczyno. Masz oczy, patrz na ludzi jak mówią, jak znają uszanowanie dla starszych... Ja się na ciebie nie gniewam, moja mała, ja się gniewać nie potrafię, ja bym ci nieba przychyliła. Tylko powinnaś być posłuszną, pokorną. Powiadasz, że jesteś sierotą, a więc zajmę się tobą, pomyślę o twoim losie, o twojéj ogładzie. Widzisz, mała, tylko mnie słuchać trzeba.

W dalszym ciągu téj rozmowy, jeszcze kilkakrotnie wybuchem gniewu i zapewnianiem, że się gniewać niepotrafi przerwanéj, dama objawiła Maryni, że jéj inaczéj zarekomendować nie będzie mogła, dopóki jéj nie zbada co ona umie i kazała jéj przyjść nazajutrz do siebie, od godziny dziesiątéj do czwartéj.

Marynia stawiła się punktualnie. Dama, niby to dla wyegzaminowania, nakładła przed nią ogromny stos roboty, i kazała szyć. Dziewczę starało się szyć jak umiała najlepiéj, nigdy jednakże nie zdołała pozyskać zupełnego zadowolnienia swojéj protektorki; zawsze ona utrzymywała, że Marynia nim będzie dość umiejętną, żeby ją do tak wielkiego domu zarekomendować było można, musi się jeszcze wyćwiczyć w wielu rzeczach i codziennie do niéj przychodzić.

Czasami, kiedy dama była w lepszym humorze, mówiła do niéj:

— Nie źle idzie, najdaléj za jaki tydzień zaprowadzę cię do pani X. Za to coś tu

u mnie szyła przez parę tygodni, poduczyła się, tam przez półroku mniéj bezpłatnie pracować będziesz.

Tydzień mijał za tygodniem, było tak już od kwartału, i biedna dziewczyna w ciągłéj nadziei wejścia na szerszą drogę w życiu, pracowała za darmo, ucząc się niby tego czem od lat paru na chléb dla siebie zarabiała, o haftach bowiem, o szydełku, o kroju, ani o atłasku mowy u pani filantropki nie było.

Marynia była aspirantką na uczennicę w magazynie, zupełnie jak pan Paweł kandydatem na aplikanta do urzędu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORJA STASIA.

(rys Fr. Kostrzewskiego).

I.



W dzieciństwie książki *uprzątał* starannie.

II.



Dorosłszy, był tak dalece mędrszym od rodziców, że im rządy domu odebrał.

III.



Pracował ciężko w rozpoczętym zawodzie....

IV.



Jednemu bożyszczu zawsze się kłaniał.

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

(Dalszy ciąg).

Tu księżna wykłada administratorom „natury porządek w udziałaniu nam potrzebnych do żyzności części" i przez to wskazuje na „dziwne obroty pieczołowitéj nad nami Opatrzności". Dowodzi, że „źle myślą ci, którzy odłogi pól za pierwszą onych być mniemają uprawę". Według natury rzeczy więc księżna prowadzi „dobry porządek gospodarstwa". Wskazuje czas na zasiewy każdego w szczególe zboża. Siało się u niéj zawsze zeszłoroczne zboże. Siewaczów po pięciu przeznacza na każdy folwark, przysięgłych. Potém następuje przepis około lnu, pól tygodniowych i t. d.

Idą następnie „powinności administratorów względem włościan". Naprzód tu gospodarskie rozporządzenia. Robota pańszczyzniana ma być dobra, według ustawy i codzień ją przegląda administrator; jeżeli zła, nazajutrz zaraz ciż ludzie którzy pracowali, iść mają i poprawiać, bo to do nich należy. Za dni pańszczyzniane daje się bilety, ale gdy wszystko jest obrachowane i opisane, nie może być dany bilet za co innego, tylko za robotę oznaczoną, czego dopilnuje gubernator, który rozdaje administratorowi bilety. Pod żadnym pozorem nie wolno używać do pracy nadinwentarzowéj włościan. Owszem sprzeciwianie się w takim razie każdego, nie ma być poczytane za przestępstwo. Robota trwać ma tylko do zachodu słońca. Kto robotę naznaczoną na dzień wprzód skończy, może być puszczony wolno, choćby w południe. Ławnicy wieczorami nakazują jutrzejsze roboty. Nieporządek wszelki wzbrania się, ztąd niewolno mieć zaległości pańszczyznianych, nie wolno odkładać roboty na później. Sprzężajnych chłopów księżna nie każe mitrężyć w złą drogę, bo przez to upadek bydła następuje. W słotne więc czasy i rozciecze mają iść z siekierami do drzewa lub spełniać inne ze sprzężajem posługi. Do tego w zimę lub w suchą drogę mają zwozić siana z błot i chrustu, lub drzewo na opał. Na potrzebę własną nie wolno administratorowi pod żadnym pozorem brać koni włościańskich, podwód, lub pańszczyzny. Toć i służby brać nie wolno, chłopców, dziewek, parobków, pod karą stu złotych.

Mają się starać gubernator i rządzcy, żeby po kilku ludzi w chałupie nie siedziało. Parobkom żenić się za granicę (t. j. po za dobra pańskie) wzbronią, toż i wychodzenia tam w służbę. Mają chałupy nadać „zaraz, jeżeli nowy jest osadnik, grunta mu wyznaczać, z pozwoleniem roku wolności i ułatwienia im wszelkiego początkowego gospodarstwa." Za dziesięciu nowo-osadzonych, administrator brał 500 złotych nagrody. O zbiorach włościańskich chciała księżna mieć wiadomości na pierwszéj październikowéj sessji. Każdy chłop w roku ma część jakąś ogrodzenia swego zasadzić różą dziką, głogiem, porzéczkami, berberysem i tarniną, po za obecnemi płotami, aby tak mógł się w czasie lata płot zapleść, niepotrzebując nigdy innego ogrodzenia. Administratorowi wolno tylko 5 plag dać włościaninowi, większą karę naznaczy gubernator i spełni ją w swéj obecności. Sądzić pod żadnym pozorem włościan administratorowie nie mogą, bo są na to wyznaczone sądy.

Chcąc młodzież wiejską zniechęcić do wycieczek niedzielnych miejskich, księżna stanowi, żeby każdy karczmarz miał na wsi swoją muzykę; gdy karczmarz niedzieli któréj uchybi, zapłaci 3 złote kary. Wdowa ma być z dziećmi rok wolna od wszelkiéj do dworu powinności. To wszystko dopilnować należy do administratorów.

Następują powinności dworników, dotyczące ich własnéj osoby, względem robót pańszczyznianych i utrzymywania spichlerza.— Dwornicy mieli sobie poruczony „dozór zupełny wewnętrznego na folwarku gospodarstwa". Były i dworniczki folwarczne, o nich osobny artykuł, w którym rozdziały o dozorze krów, przepisy o nabiale, o maśle, o robocie sérów, o tkaniu i urządzaniu przędzy lnianéj i konopnéj, o zachowaniu drobiu. Tu znowu szczegółowe przepisy jak pilnować wysiadania jajek, czem karmić matki i drobiazg. „Jest praktyka pewna, mówi księżna, że uścielając dla drobiu gniazda, pod spód żelaza kawałek gdy jest włożony, broni od szkody popsucia jajec, powszechnie praktykowany w czasie grzmotów; przyczyna taka jest ciemna, jak inne rzeczy w obrotach natury". I zaraz fakt ten naukowo tłumaczy. „Któż wie, czy powietrze elektryczne psujące jajko, zastawszy żelazo na spodzie, nie przytępia się?" (I, 104).

Inny rozdział zawierający przepisy „o potrzebach dla drobiu i kuchni służących" jest rodzajem poradnika gospodarskiego, jak są poradniki kuchenne. Pan Bóg wie czego tu nie ma! Robota krup i sposób marynowania ziół na zimę, przepis moczenia sztokfiszu, lub

sumów i w ogólności ryb, obok przepisów jak zabezpieczać od mrozów owocowe drzewka, o fasoli, pieczarkach i koprze, o pekeflejszu, wędzonkach i półgęskach; są przepisy rozmaite robienia szynek i kiełbas, schabów i ciast, jest nawet sposób robienia pudru. Księżna opisuje następnie inwentarz pożytków zwierzęcych, na co z nich pożyteczna żółć, a kości, krew, a gnój, racice, a skóra.

Artykuł szósty rozbiera powinności pasterzów. Wystawiwszy korzyści i pożytki z każdego rodzaju domowego bydła, księżna przepisuje osobne roty przysięgi pasterzom od bydła rogatego, owiec i świń. Następuje przepis co robić każdego miesiąca z bydłem, czysty kalendarz podzielony na kwartały.

Tu kończą się artykuły, a zaczynają prawdziwe rozmaitości. Drukuje księżna okólnik Lipskiego, biskupa krakowskiego i kardynała z roku 1740, oznaczający dochody plebańskie, czyli tak nazwane *jura stolae*. Do okólnika tego powoływała się wyżéj, kiedy nakazywała żeby jéj urzędnicy pilnowali taksy i sprawy ludu. Biskupi Załuski i Sołtyk zatwierdzili rozporządzenia kardynała. Stały się więc prawem i jako prawo księżna je do zachowania podaje. Taksa oczywiście była tania, np. od zapowiedzi po sześć groszy, toż od każdéj świecy palącéj się przy mszy żałobnéj, za kondukt przy chowaniu ciała między wszystkich księży na podział 1 zł, od ślubów dla szlachty 1—2 talarów, a od włościan najwięcéj 2 złote. Prawo dawniejsze, które tu księżna przypomniała, z r. 1369 i 1453, zakazywało zupełnie pobierać opłat od Sakramentów i posług kościelnych. To przypomnienie dla tego zapewne tu umieszczone, żeby proboszczom osłodzić niskość taksy.

Ustawa naprawy dróg i rozmaitości bez systematu, kończą tom pierwszy, przy którym niewiele jest tablic gospodarskich.

Tom 2 ustaw powszechnych, zajmuje tylko wyłącznie „opisanie funkcji pisarza prowentowego”. Rozdziały obejmują rzecz o wybraniu pieniężnéj intraty, o ekspensie zbożowym i obór dozorze i o tém co składa przypadkową intratę i jaki nad nią przynależy dozór. Pisarz prowentowy był jeden na całe dobra, i ztąd jego wielkie znaczenie. Powinien był jak najczęściéj objeżdżać folwarki, być drugim dozorcą po gubernatorze. Przestrzegał więc wszystkiego w dobrach, nawet tego, czy wszyscy pełnią obowiązki chrześcijańskie.— Miał pod swym dozorem magazyn prowentowy, pilnował lnu i konopi. Księżna dostrzegła, że danina inwentarska oddawana dworcowi garściami, bywała rozmaitéj wielkości, postanowiła więc, ażeby każda garść czystych wyczesanych konopi ważyła 12 łutów i taką miał odbierać pisarz na przyszłość. Ukarm wieprzów przy folwarkach i młynach, pasieki, drób', sery, wełny, skopy, smoła, oléj, dziegieć i t. d., do pisarza należą; od sprzedaży miał grosz 10-ty. Jego też rzecz ażeby ustawy wszyscy znali, odczytywać je często i przypominać był powinien. Tom ten niewielki zmieścił się na 32 stronnicach, ale znakomitą część jego obejmują rozmaite wzory rapportów, tablic gospodarskich, inwentarzów, spisów. Księżna odwołując się ciągle do dawnych postanowień, na wszystko obmyślała formę, wszystko objęła w rubryki i przepisy.

Następne tomy również maleńkie. Trzeci obejmuje „powinności pisarza propinacji,” o całości i czystości browaru, o dozorze w gorzelni, o dozorze piwnego browaru, o porządku szynków, o wewnętrzném gospodarstwie w oborze; następnie mieści ustawy dla dozorcy magazynu propinacji i przysięgę dozorcy magazynu. Tom czwarty zawiera powinności dla dozorcy fabryk, inwentarz magazynu fabrycznego, perceptę i ekspens magazynu, próby wzięte z funta żelaza; daléj rozprawia o rzemieślnikach, o dozorze parobków fabrycznych, o robotach codziennych, o dozorze tartaku, o grubości belek z proporcji architektury powziętéj, o wypaleniu cegły, o dozorze pieca wapiennego i o naturze wapna. Tom piąty cały jest o urządzeniu lasów i powinności ober-strażnika, rozdzielonych na trzy części: co do zachowania lasu, co do rozchodu z lasu i co do zysku z lasu. Powinności strażników osobno są opisane; przysięgali według roty. Następuje taksa drzewa idącego na sprzedaż; opis użytku z różnych drzew krajowych, które księżna dzieli na trzy wielkości; kategorje tych wielkości, według abecadła drzew układa. Tom szósty zawiera ustawy dla pisarza hamernianego i kotlarza, o miedzi i wagach, wiadomość o materjałach na co są używane w hamerniach. Przy każdym tomie według zwyczaju wzory tabelli i aryng.

Dwa tomy ostatnie znowu głownie jak pierwszy, zawierają w sobie tekst; tablic tu żadnych nie ma, bo też i treść więcéj społeczna.

Idą naprzód ciekawe urządzenia miejskie. Księżna wynurza swoje przekonanie, że dobro jedynie „obywatelów swoich” ma na celu, że ubolewała nad upadkiem lat ostatnich, że jedyny ratunek w dobrych prawach i opisach. Nad miastem więc najwyższą władzę stanowiła w komendancie. Tem, czem gubernator był w dobrach, tem komendant w mieście; przedstawiał osobę dziedzica w jego nieobecności. Trzebaby przepisywać obowiązki gubernatora tutaj, bo instytucje były z siebie żywcem kopiowane. Pilnował komendant wszystkiego i wszystkich, odbierał tygodniowe raporty, sesje miesięczne składał w pałacu, wraz z oby-

watelami miasta i urzędnikami, sądził w drugiéj instancji. Pieniaczom księżna tem przecinała drogę, że kto przegrał w pierwszéj instancji w magistracie, lub przed rabinem, w drugiéj przed komendantem i w trzeciéj przed nią, brał 50 plag na rynku za „złej sprawy poparcie i swoją niespokojność". Komendant nie miał prawa żadnéj pozwolić sprzedaży lub zamiany zatwierdzać; to księżna zostawiała sobie. Toż pani jedynie służyło prawo zatwierdzać testamenta i zapisy. Zakazała jednak z góry samowolne zapisy i legaty. Komendantowi nie wolno było pożyczać obywatelom summ ze skarbu, a te summy które księżna sama rozpożyczyła, ma najprędzéj ściągnąć. W razie śmierci obywatela, komendant zsyłał pisarza miejskiego, przy land-wójcie, burmistrza i ławnika, do spisania majątku pozostałego; wdowie przydawał opiekunów, toż dzieciom po rodzicach, po dwóch z każdéj linji, ojcowskiéj i macierzystéj, pod dozór gmińskiego, który z prawa był opiekunem. Matki winny się rachować przed opieką, a gdyby sieroty nie miały matki, majątek puszczał się na licytację na lat 3 w obecności komendanta na ratuszu. Gmiński na każdej sessji miesięcznéj ma raport zdawać komendantowi o sierotach. Za śluby, chrzty i pogrzeby płaci się według taksy biskupów pod karą dwóch czerwonych zł. do kassy miejskiéj; kassy téj i kahalnéj pilnuje komendant. W czasie ognia jemu jednemu wolno być na koniu. Odbywa rewizję mieszczan co rok, podług inwentarza, i dzieci ich. Księżna pod karą konfiskaty majątku rodzicom zakazywała posyłać dzieci do szkół obcych. Pisarz miejski miał powinność uczyć dzieci obywatelskie czytania i arytmetyki za osobną pensją wyznaczoną od miasta. Wszelki nowo osiadający obywatel, polak czy niemiec, wolny jest i będzie miał na to świadectwo podpisane przez księżnę, ale ciężary miejskie ma ponosić wszystkie, od podatków dworowi zaś miał pół roku ulgi. Komendant pilnował wreszcie, żeby podatki Rzeczypospolitéj i dworowi regularnie dochodziły.

Juryzdykcja miejska jest na mocy przywilejów magdeburską. Składać ją ma 12 osób. Land-wójt, czterech burmistrzów, czterech ławników, pisarz gmiński i starszy rzemieślnik.

Land-wójta i pisarza wyznacza dwór, burmistrze i ławnicy obierani będą przez większość głosów, gmińskiego obiera całe pospólstwo, starszego rzemieślnika rzemieślnicy.

Kassjer chociaż do sądu nienależał, atoli, że był urzędnikiem miasta, i skarb trzymał, obierany przez całe pospólstwo, sprawował swoje obowiązki dożywotnio.

Elekcja magistratu następować miała zawsze 22 czerwca na ratuszu. Po wotywie o 10-éj wszyscy schodzili się pod prezydencją komendanta i jednego delegowanego z dworu. Ci dwaj najwyżsi urzędnicy przedstawiali obecnym mianowanego land-wójta i pisarza. Następowało głosowanie na wyborców, których miało być trzydziestu; potem wszyscy niepotrzebni oddalali się, a wyborcy wtenczas sami głosowali na burmistrzów i ławników. Po wyborze przywoływano pospólstwo i przedstawiano mu wybranych. Wtedy wszyscy razem obierali swego starszego. Po zakończonym akcie, w uroczystéj processji szli wszyscy do kościoła na Te Deum pod chorągwią miejską, a potem w tymże porządku do pałacu do pani, a w niebytności tejże do komendanta.

Gdy zaś land-wójt, pisarz gmiński i starszy rzemieślnik byli dożywotni, a burmistrze i ławnicy do trzech lat urzędowali, więc co roku nie trafiała się elekcja, ale zawsze odbywało się w dzień oznaczony uroczyste nabożeństwo. Mogły być nadzwyczajne okoliczności: gdyby np. przyszło do zrzucenia jakiego urzędnika, wtedy elekcja odbywała się na zdarzony wakans, ale gdy tylko sąd mógł oddalać burmistrzów i ławników za jakie nadużycia, raz oddalony już nie mógł być powtórnie wybranym. Oczywiście, że obierać można było tylko ludzi zacnych. Burmistrze i ławnicy mogli być obrani i na drugie trzechlecie, ale nigdy dłużéj. Dwóch urzędów jednéj osobie piastować nie wolno. Przed urzędnikami wisiały tablice dworskie oznaczające ich godność. Każdy po złożeniu urzędu oddawał te tablice i wszelkie ustawy i rozkazy które miał pod rejestrem, następcy, za pokwitowaniem w magdeburgji.

Sposób sądów był taki. Zaczynały się drugiego dnia w miesiącu zrana od 7-éj i trwały codzień do 10-éj. Wolno się rozchodzić było sędziom tylko po odsądzeniu sprawy i zapisaniu wyroku. Pozwy na tydzień przed sądzeniem wręczane być stronom powinny, inaczéj wyrok nieważny, chybaby obiedwie strony na nim poprzestały. Stanowi większość głosów, których było 9: landwójta, burmistrzów i ławników. Gmiński był patronem pospólstwa, zatém każdéj sprawie przytomnym być musiał, nie wychodząc z niéj, ani nawet czasu namowy, ale głosu nie miał. Toż samo się rozumiało o starszym rzemieślniku. Wchodzili jednak i ci obadwaj do sądu z głosem w takim razie, gdy którykowiek z sędziów chorował, albo miał własną sprawę. Gmiński wchodził do sądu wtedy, gdy sprawa była rzemieślników. Pisarz notował wyroki i wydawał je stronom pod pieczęcią magdeburgji. Appelować do dworu wolno było każdemu i natychmiast. Grzywny jako kary pobierał kassjer, co land-wójt zapisywał w perceptę. Pisarz miał też pod klu-

czem archiwum mieszczan na ratuszu trzymać, żydowskie zaś szkolnik.

Sądy mogły wyrokować w sprawach ludzi w mieście zamieszkałych, ale sprawy kryminalne i zatwierdzenie przedaży gruntów należały do dworu. Toż sprawy katolików z żydami tu sądzone, ulegały zatwierdzeniu dworu. Cechów nie ma, więc rzemieślnicy do sądu iść mają. Przyszli osadnicy w mieście, nawet niemcy, korzystali z przywilejów miejskich, mogli być wybierani do juryzdykcji, i wolni byli rok pierwszy od podatku. Wynosząc się, powinni byli osadzić kogo na swojem miejscu. Na każdéj licytacji w ratuszu powinien być przytomny magistrat.

Nagroda za urząd była taka. Land-wójt nie płacił nic z placów, gruntów i wolny był od wszelkich powinności. Burmistrz i ławnicy dostawali grunt na czas urzędu. Gmiński wolny był od prętowego z placów, z ogrodów i gumnisk, do miasta. Od opieki nad majątkiem każdy dwudziesty grosz z dochodów do niego należy. Pisarz miejski, kasjer i wachmistrz dobrego porządku, pobierać będą płace. Starszy rzemieślnik za przytomność w sądach od każdéj sprawy dostanie po złotemu. Stróżów dwóch dobrego porządku ma być na każdéj ulicy; ci wolni są od prętowego z placów, ogrodów i gumnisk. Strażnicy magazynu nagrodę jak gmiński z niego wezmą. Następują roty przysięgi dla wszystkich tych urzędników.

Landwójt, jak gubernator, naprzód winien był wszystkim służyć za przykład. Pilnował przedewszystkiem prawa, przewodniczył sądom, odwracał od zgorszeń. Co miesiąc odbywał rewizje domów dla przekonania się, czy tygodniowe raporta burmistrzów są sprawiedliwe. Pilnował regularności poczty, żeby wszyscy zarówno ponosili ten ciężar; cyrulik i baby płatni byli dla wygody miasta i od niego zależeli. Miał klucze od kassy miejskiéj i żydowskiéj, które też były u kasjera i w skarbie. Dozór nad ogniem, szarwarki i bruki pod jego zostawały dozorem. Burmistrzowie byli to land-wójtowie mniejsi, każdy swojéj części miasta. Tenże sam urząd, ale jeszcze niższy, pełnili ławnicy, zastępcy i pomocnicy burmistrzów.

Pisarz pilnował archiwum. Pobierał zaś grzywny według następnéj taksy: od donacji złotych dwa, od testamentu i ślubnych intercyz, oraz od arkusza wypisu oryginalnego po 1 złp. od plenipotencji groszy 15, od manifestu i ekstraktu jakiegokolwiek po groszy 6, od zapisu w regestr gr. 3. Uczyć też ma dzieci miejskie za osobną zapłatą. Co roku winien dworowi przedstawiać dzieci i składać dowody swojéj pilności.

Gmiński ma być strażnikiem, opiekunem i ojcem pospólstwa. Ma pilnować, żeby magistrat nie uciskał, sądy żeby dopuściły appelacji. Pilnuje dobra obywateli, czy mają czysto w domu, czy ubrani porządnie, czy do kościoła chodzą, czy pole dobrze zasiewają? Jako ojciec ma czuwać nad sierotami i choremi.

Potem przechodzi wojewodzina prawa każdego mieszczanina do swego majątku. Każdy z nich przez pomiar ostatni gruntów na lat 50, został właścicielem 15 morgów prawem emfiteutycznem, sianożęci morgów dwa, oprócz ogrodów i placów. Wolno mu jak właścicielowi wszystko z gruntem robić, aby tylko go na części nie dzielił przy zbywaniu. Wdowa dożywotnia, brat i siostra opiekunowie małoletnich tego robić nie mogą. Po 50 latach, każdy gospodarz 200 złp. zapłaciwszy dziedzicom za nowe potwierdzenie prawa na lat 50, znowu zostaje właścicielem. Wdowa w szóstym tygodniu po śmierci męża zaprzysięgać ma pozostały po mężu majątek, który poprzednio spisze pisarz prowentowy, w obec burmistrza, ławnika i gmińskiego, inaczéj odpada od dożywocia. Co zarobi wdową będąc, do niéj należy. Synowie po śmierci matki równo dzielą pomiędzy siebie majątek ojca. Siostrom, jednéj lub kilku, zostawiają część czwartą z ojcowskiego, a równą połowę macierzystego na posag. Syn starszy ma prawo skupić młodszych braci, a gdyby nie mógł przy podziale, kassa miejska mu pożyczy bez procentu. Donacje może robić tylko 24 letni, a panna 20 letnia, jednak w obecności ojca i matki. Opieka matki nad synem kończy się wtedy, gdy syn lat 24 dorośnie. Zapisów w testamentach robić wojewodzina zakazywała. Kto Bogu daje, ma dać zdrów, nie chory. Kto przy śmierci daje, nieczyste ma intencje; boi się albo piekła, albo nie lubi żony, a inni zazdroszczą swojéj pracy dla dalszych. Wielu jest i takich, co się uwodzą źle wyrozumianą gorliwością, co radziby cały majątek Bogu oddać za życia, nie mając baczenia na rodzinę i długi. Wojewodzina stanowiła więc, że gospodarz który zechce Bogu coś zapisać, ma zeznać naprzód tę chęć swoją przed magistratem, potem spisze cały swój majątek i długi, i zaprzysięże co dostał po rodzicach, a czego sam się dorobił. Z części tylko dorobkowéj jedną czwartą będzie mógł się rozporządzić po swojemu i Bóg takie ofiary mile przyjmuje. Bezdzietny, tylko połowę będzie mógł oddać na kościół lub miłosierne uczynki. Spadek na dalszych krewnych idzie według prawa.

Podatki i powinności mieszczan. Naprzód co do Rzeczypospolitéj. Podymne i czopowe uchwalone przez konstytucję r. 1775 płacić regularnie do grodu drohickiego w dwóch ratach. Do dworu płaciło się z morga gruntu złp. 4. Wytrącając 5 morgów na ugór, wypada gospodarzowi płacić co rok do dwo-

ru złp. 40. Z sianożęci za mórg złp. 3. Z browarów 16 złp., z placów kramowych od razu 15, z innych w środku po dziesięć, z placów rynkowych za pręt groszy 3, z placów rynkowych za pręt gr. 3, z placów ulicznych, ogrodów i gumnisk po gr. 1. Poczty dwoiste się należą. Co tydzień na półrocze do Kocka, do Grannego zaś co poniedziałek i czwartek, rolnik, gospodarz i żyd ma jeździć. Z Kocka wracać najdaléj czwartego dnia, z Grannego w 10 godzin. Koleją to się odbywa, żeby ciężar był równy. Inne są podatki do kassy i powinności dla dobra porządku i bliźniego.

Następuje ustawa porządku krupki miejskiéj żydowskiéj, którą księżna każe nazywać teraż kassą publiczną kahalną. Czterech kahalnych przez losy w szkole wybranych stanowią dozór.

Ciężary publiczne sa następne. Do magazynu publicznego każdy gospodarz o świętym Michale winien oddawać pewną część zboża czystego i dobrze wywianego. Szarwarki stróża nocna tu należą. Od szarwarku tylko wolni są żydzi.

Obowiązki kassjera miejskiego.

Porządek magazynu publicznego i obowiązki dwóch jego strażników, oraz sposób odbierania rozchodu i utrzymania magazynu. Rozchod z magazynu zwykły jest miara 20sta, dla gmińskiego i strażnika od każdego zboża i na dwa konie do wozów gnojowych.

Ustawy na rozchody kassy publicznéj miejskiéj. Pisarz miejski, wachmistrz dobrego porządku, zegarmistrz i cyrulik miejscy brali po złp. 200 każdy rocznie, kassjer miejski 100, baba miejska 72. mularz miejski 30. Stróżowie dwaj nocni do latarni po złp. 104, dwaj do wywożenia gnojów i śmieci po złp. 104. Dla koni na siano złp. 12. Rozchód stały niespełna 1500 złp. Rozchód nadzwyczajny obrachowany był na złp. 350. Cały więc rozchód wynosił do złp. 1850.

Inny rozdział zawiera powinności względem własnéj parafji i w nim jeszcze raz taksa od wszelkich posług religijnych.

Jaki rząd ma być każdego obywatela i w czyim ma zostawać dozorze? Obowiązki wachmistrza dobrego porządku. Obowiązki stróżów publicznych dobrego porządku.

Ustawy ogólne dla całego miasta.

Ustawy ogniowe są bardzo szeroko wyłożone.

Ustawa o chrzcinach, ślubach i pogrzebach. Zbytnia wesołość i zbytnia wytworność znoszą się. Na wesele dzień jeden przeznaczony, pod karą trzech czerwonych złoty do kassy, a jednego na wachmistrza. Za pijatykę na chrzcie do kassy 1 czerwony złoty, a dla wachmistrza złp. 9. Na pogrzebie około trumny wolno nieść 4 świece, resztę pieniędzy obrócić lepiéj na msze. Na pogrzeb powinniby wszyscy wychodzić.

Zakazuje się strój zbytkowny, bo gubi wszystko. Nikt z mieszczan i mieszczanek nie może nosić na sobie nic bławatnego, białogłowy noszą wymyślne kornety, więc polecają się im dymy mohilewskie, płótna i kartony bo te się dobrze piorą; mężczyzni mogą nosić sukno, kamloty, wełniane materje. Żeby spółzawodnictwa nie było żadnego, na ratuszu będzie przybity model i według niego dziewki i mężatki mają się stroić. Mężatki mogą nosić wprawdzie kamizelki i spódnice, ale na głowie jednakowy strój im z dziewkami. Odzież ma być wełniana lub lniana, nie bławatna. Że zaś odmiana sukien potrzebuje czasu i kosztu, więc od św. Jana Chrzciciela 1780 do święt. Jana roku 1781 dawała księżna czas wszystkim do zrobienia téj w domu odmiany, po któréj wachmistrz dobrego porządku gdyby spotkał kogo na ulicy ubranego nie według ustaw miejskich, powinien był przy pomocy żołnierzy dworskich, każdą taką osobę rozebrać i „zabrać dla siebie całe ubranie występnego, jego zbiór i porządek" (str. 119).

(Dokończenie nastąpi).

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz, że po śmierci Vogesa, zacząłem pełnić jego czynności, stając się pośrednikiem między nim, a ludźmi którzy pieniędzy pożyczyć chcieli. Gdy się kto do mnie zgłosił, brałem jego papiery, dowodzące pewności oddania i niosłem je do Kajfura. Ten je przeglądał i dawał mi pieniądze mówiąc: wypożyczysz na 10, 15, 20 lub więcéj procentu; ja też to czyniłem, o nic nie pytając, a kazałem sobie dawać rewers na swoje imie, ja-

łoby pieniądze te odemnie pochodziły. Nie upłynął dzień, żebym jakich summ nie dawał, albo nie odbierał; interesa szły tak pomyślnie, że przychodzili do mnie nie tylko ci których Kajfur przysłał, ale i tacy którzy o mnie samym słyszeli, że pożyczam pieniądze na umiarkowany procent. Raz się trafiło, że przyszedł do mnie jeden młody baron żądając 20,000 guldenów. Zapytałem się Kajfura czy on mi go przysłał, lecz gdy on się tego wyparł, przyszła mi myśl, żebym z baronem na własną rękę zrobił interes. Już bowiem ułożyłem sobie planik, jak by się dało w najlepszy sposób podejść Kajfura.

— Cóż też za dowcipny jest mój Dawid, jaka szkoda że się da uwięzić! zrobił uwagę Schneeball.

Nie zważając na tę uwagę, Dawid opowiadał daléj.

Dowiedziałem się, że baron nie ma jeszcze własnego majątku, że jego ojciec żyje i wcale nie myśli synowi dawać tyle, ile ten na rozrzutne życie potrzebował. Powiedziałem tedy śmiało młodzieńcowi, aby mi nie miał za złe, jeżeli będę wymagał lepszéj jakiéj pewności niż jego podpis. Nie obraził się tem baron, wskazał mi znajomą swoją, francuzkę, która świeżo wzięła dziedzictwo po bogatym mężu; dobra jéj przedstawiały pewną hipotekę na 20 tysięcy guldenów. Obiecałem, że się zgłoszę do téj pani, ale prosiłem o półtora tysiąca guldenów za fatygę, tém bardziéj że nie mając tak wielkiéj summy u siebie, potrzebowałem ją zebrać tu i owdzie. Baron na wszystko przystał; dał mi nawet bilecik do owéj francuzki, żeby jéj odjąć wszelkie podejrzenie. Dodał na moje żądanie półtora tysiąca guldenów.

— Wielki Boże! jak to zręcznie obmyślane! kto by powiedział, że Dawid ma dopiero lat 20 i żeby takie zdolności więziono! co za szkoda!

Dawid uśmiechnął się dumnie i zapytał się wuja: zgadnij com daléj uczynił?

— Mów sam, odparł Schneeball.

— Otóż poszedłem do pani Dufosse i otrzymałem od niéj poręczenie na 20 tysięcy guldenów; wtedy powiedziałem jéj, że wolałbym gdyby ona mogła mi dać owe półtora tysiąca guldenów, gdyż jak baron cofnie swoje słowo, cóż ja z nim biedny żyd pocznę. Odpowiedziała mi, że chętnie by to uczyniła, gdyby była przy pieniądzach, zaproponowałem jéj więc, żeby mi dała choć rewersik na tę summę.

— I ona to uczyniła? podchwycił Schneeball.

— Uczyniła, odparł Dawid, a gdym miał rewersik w ręku, tom miał już Kajfura w kryminale.

— Kajfura w kryminale! wołał Schneeball zacierając ręce z radości, jaka go na tę mysl przejmowała.

Mów, jakże do tego przyszło?

— W sposób najprostszy. Skoro włożyłem rewers do kieszeni, jużem się więcéj nie troszczył o dostarczenie 20 tysięcy; odwlekałem barona od dnia do dnia i robiłem mu tysiące trudności. Tymczasem rewers stał się wypłacalnym i sprzedałem go Kajfurowi, który się dopominał o pieniądze. Francuzka się z nim ułożyła, wypłaciwszy mu 1,000 guldenów.

— Ale Dawidku, dotąd widzę żeś ty tylko karę na siebie ściągnął, kiedyż wystąpi Kajfur?

— Zaraz, zaraz, powiem naprzód, że dama poskarżyła się przed francuzkim konsulem, że z niéj zażartowano. Konsul zawiadomił o tem ministra, który sprawę oddał do głównego sądu i bolceński sąd kryminalny dostał najwyraźniejsze polecenie wyjaśnienia sprawy.— Dzisiaj też odebrałem wezwanie i wiem że mnie już nie puszczą. Szczęście jednak, że stawienie się na południową godzinę naznaczyli, inaczéj nie byłbym mógł cię zawiadomić.

— Ale cóż mi za pociecha, przerwał Schneeball, że ciebie będą mieli, a nie jego?

— Jutro i jego dostaną, zapewnił Dawid. Jak mnie dziś badać będą powiem prawdę, nic tylko czystą prawdę; odebrawszy odpowiedź jak się nazywam, zapytają kto jestem? odpowiem wtedy: jestem sługa Kajfura.

— Ha! taraz cię rozumiem, złoty młodzieńcze, już go mamy! Jesteś sługą Kajfura, to możesz na talmud zaprzysiądz, a gdy trafią na ślad, będą pytać daléj.

— Tak, tak, za słówkiem idzie drugie, będą mi się pytać, zkąd biorę pieniądze na pożyczki, a ja znowu powiem czystą prawdę, że mi je daje Natan Kajfur, w którego imieniu działam.

— Bardzo dobrze Dawidku, wołał Schneeball uszczęśliwiony z wzorowéj miłości do prawdy, jaką był przejęty jego siostrzeniec. Pozostań zawsze przy prawdzie, mów zawsze tak, jak byś miał na wszystko przysięgać, szczególniéj nie omyl się w cyfrze procentu, i nie powiedz czasem 15, gdybyś miał powiedzieć 20.

— Bądź spokojny Absalonie, wszystko opowiem dobrze; byłoby coś szczególnego gdyby Kajfur nie otrzymał takiego wezwania, jak ja dziś.

— Żeby go tylko tam zatrzymali, zatrwożył się Schneeball.

— Jakby to było gdyby mnie zatrzymali, a jego puścili, odparł Dawid z lekceważeniem.

Co się zaś tyczy rewersu, to już ja się z niego wykręcę.

— Masz słuszność Dawidzie, jestem o ciebie spokojny. Tak pełna genialnych pomysłów głowa, nie rozbije się o jeden marny weksel, ale się Kajfur zapewne nie wykręci, gdy przeciwko niemu dasz świadectwo. Tylko nie zapominaj o wysokości procentu Dawidzie, często od jednego lub od dwóch od sta więcéj, zależy przedłużenie aresztu o rok lub pół roku.

Dawid obiecał pamiętać wszystkie przestrogi wuja i wziąwszy swoje urzędowe wezwanie, pewny że zatrzymanym będzie, najtkliwszym pożegnał go uściskiem.

Natan Kajfur i Absalon Schneeball.

W tym samym dniu Kajfur odebrał wiadomość o procesie, który w imieniu swéj córki, z dawnym adwokatem Schneeballem prowadził. Wiadomości te nie musiały być pomyślne, gdyż przeczytawszy zmarszczył czoło i patrzył ponuro przed siebie. Nie myślał jednak zawołać dla wspólnego naradzenia się córki, która nic nie mieszała się do tego interesu, spuszczając się zupełnie na ojca. Raz powiedziawszy że nie chce żyć z mężem, nie pytała się nawet o niego, nie wiedziała, że zubożał. Z początku ojciec jéj mówił o postępie procesu; ale przyjmowała to tak obojętnie, albo z takiém oburzeniem, że uważał za stosowne więcéj nigdy nie wspominać. Zamiast tedy do córki, poszedł do znajomego sobie prawnika, który rozpatrzywszy się w sprawie, nie mógł mu zataić, że rzecz brała dla przeciwnéj strony znacznie pomyślniejszy obrót, i być może że zięć jego proces wygra, a o żonę się upomni.

— Byłaby to śmierć mego dziecka, zawołał Kajfur, gdyby do niego wrócić miała.

Prawnik ramionami wzruszył i rzekł: to sprobujmy na drodze pojednania, rzecz tę załatwić. Schneeball zubożał, to może teraz będzie miększy.

Kajfur potrząsnął głową, mówiąc: Jak na sobie samym wymogę, żeby przejść na drogę pojednania, to sprobuję i z moim zięciem.

Pierwszy to raz po długim przeciągu czasu Kajfur wspomniał Schneeballa jak krewnego. Od czterech lat nie mówił z nim ani słowa, a tak dzielnie odpierał jego żądania co do powrotu Sary, że nie mógł spodziewać się dobrego przyjęcia.

Pochlebiał sobie wprawdzie, że ubóstwo zmieniło usposobienie Schneeballa, może też dla tego tylko był tak upartym, żeby go dla tem prędszego załatwienia sprawy suto zapłacono. Przecież już musiał pojąć, że go żona nienawidzi, cóżby mu przyszło z jéj powrotu, teraz jeszcze kiedy tak podupadł, że nie domyślano się nawet z czego żyje.

Takie uwagi robił sobie Kajfur i w miarę jak mu się na myśl nasuwały, układ zdawał mu się coraz to prawdopodobniejszym;— przecież mnie nie zadusi jak do niego przyjdę, mówił do siebie, co najwięcéj może mnie za drzwi wyrzucić, a kto wie czy to jeszcze uczyni. Przyjdę do niego z dobrym sprzymierzeńcem, który nie zawodzi, który nie jeden zamek otworzył, nie jedno, zawzięte serce już zmiękczył. Czyż nie jestem bogatym człowiekiem? Cóż mi znaczy dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy guldenów, aby już raz ten proces utrapiony zakończyć.

W godzinę potem pukał do drzwi Schneeballa. Były adwokat obiadował właśnie. Na tłustym papierze, który obrus i talerz zarazem wyobrażał, leżały poobgryzane kości baraniny. Reszta pokoju odpowiedała zupełnie nakryciu stołu. Łóżka i stołek z białego drzewa stanowiły całe umeblowanie tego trzeciopiętrowego pokoiku. Małe okno o dwóch szybach wychodziło na podwórze. Kajfur jednym rzutem oka objął to wszystko i doznał czegoś nakształt litości. W tém Schneeball podniósł głowę i dostrzegł przybyłego.

— Czego tu chcesz, Natanie Kajfur? czyś przyszedł obejrzeć nagie ściany mego schronienia? Patrz na nie, tyś to zerwał z nich obicia i kobierce. Przypatrz się; tak jak mieszkam, tak śpię, tak jem, jednakbym się nie chciał z tobą zamienić. Widziałeś—teraz wychodź! Ten ostatni wyraz był tak nakazujący, że Kajfurowi przyszło na myśl czy by nie lepiéj było, co najprędzéj go posłuchać, jednak zdecydował się zostać i rzekł, usiłując przybrać ton serdeczny.

— Posłuchaj mnie Schneeballu, nie przyszedłem urągać się twemu nieszczęściu, przeciwnie twoje smutne położenie obchodzi mnie, przecież był czas kiedy byliśmy przyjaciołmi, a zawsze jesteśmy krewnemi.

Schneeball popatrzył na mówiącego. Co mogły znaczyć te wyrazy? byłaż to jaka odmiana ze strony Sary? czyż sobie po czterech latach przypomniała że ma męża i wysłała ojca w charakterze pośrednika.

Trudno powiedzieć co w téj chwili przeszło przez myśl Schneeballa. Możność zakończenia sprawy, którą się tak dawno mozolił, zmiana możebna uczuć żony, wszystko to stanęło mu przed oczyma. Już widział Sarę przed drzwiami mieszkania, tak piękną uśmiechniętą jak dawniéj, dostrzegła ubóstwo jego, ale nie odwróciła się. Uklękła przed nim i patrzała nań wzrokiem od którego stopniały wszystkie jego czteroletnie boleści. Pojął w téj chwili Schneeball jak głęboko ko-

cha żonę i że właśnie dla tego że ją kocha, o jéj powrót walczy. Pomiarkowawszy się nieco zapytał Kajfura.

— Czy przyprowadzasz mi żonę?

— Co ci po żonie, która cię nie kocha? odrzekł mu Kajfur słodkim głosem.

Te słowa zupełnie otrzeźwiły Schneeballa; zakrywając oczy rękoma zawołał boleśnie: Masz słuszność ona mnie nie kocha, jak mogłem jeszcze na to rachować, szaleniec! i zmieniając nagle głos, dodał dziko: Cóż tedy chcesz Kajfurze, kiedy mi mojéj żony nie przyprowadzasz? czego się wciskasz do mego schronienia i pokój mi przerywasz? Idź precz! mówię ci, idź precz!

— Słuchaj mnie Schneeballu, usiłował uspokoić go Kajfur, niepodobna żebyś jeszcze kochał żonę, która się dla ciebie okazała tak niewdzięczną. Ja sądzę, że jakeś się przekonał, że tego nie warta, już twoje serce od niéj się odwróciło.

— Słyszycie go! krzyknął Schneeball, wytrzeszczając gniewnie oczy i chwytając teścia tak, jakby go chciał udusić. Słyszycie go, to jest jéj ojciec, jak on się o niéj wyraża!... a jednak ona go nie opuściła.

— Nigdym tego nie usprawiedliwiał, że opuściła ciebie, odezwał się Kajfur.

— On tego nie usprawiedliwiał, a jednak wziął ją do siebie, stanął między nią a mną i ciągle powiększał tę przepaść która nas dzieliła....

— Czyniłem co musiałem; na mojem miejscu byłby każdy ojciec tak samo postąpił. Teraz jednak chcę ci dać dowód, że chociaż występowałem jako twój przeciwnik, śladu niechęci nie ma w sercu mojem dla ciebie. Zastanów się tylko dobrze nad położeniem rzeczy. Sara cię nie kocha, mało mówię! nie nawidzi cię, jak tego mam ciągle dowody. Możesz nareszcie wygrać proces i kazać jéj gwałtem wrócić do siebie, ale cóż ci z tego. I jeżeli ona się uweźmie za pomocą ucieczki, lub samobójstwa oddalić się od ciebie, cóż tedy zyskujesz? nie będziesz jéj miał jutro, tak jak jéj nie masz dzisiaj, mnie zaś tylko dziecka pozbawisz. Postąpiłbyś daleko rozumniéj, gdybyś wziął na uwagę okoliczności, których zmienić nie możesz. Wyobraź sobie, że ci żona umarła, lub że nigdy nie żyła, a stosunki twoje zostaną te same, jakie były dawniéj, będziesz znowu tym samym Absalonem Schneeball, przed którym każdy zdejmował kapelusz. Rzeknij słowo, żeś twój proces zakończył, a twoja kancelarja zapelni się znowu klientami, i adwokat Schneeball na nowo odżyje. Wymagaj co chcesz, masz do tego prawo. Chcesz dwadzieścia, trzydzieści tysięcy guldenów? będziesz je miał, wyliczę ci je zaraz na stół, jako twoją własność, i te gołe brudne ściany wkrótce zmienić się mogą w piękny apartament. Nie chcę cię upokorzyć, owszem, my zniesiemy gdy nas pogardą przed całym światem napiętnujesz. Damy ci na piśmie, że odstępujemy od procesu i uznajemy twoje prawa do Sary. Zwyciężyłeś, możesz przywołać żonę w każdéj chwili, ale nie chcesz korzystać ze zwycięstwa, odpychasz ją od siebie i zamykasz jéj swój dom. W taki sposób cały wstyd padnie na nas, a będziesz miał pieniądze.

Schneeball wierzył zaledwie własnym uszom; z początku chciał przerwać teściowi, ale potem powściągnął się i uspokoił, zamyślając w dokuczliwy sposób pomścić się na nim.

— Skończyłeś? pytał z szyderskim uśmiechem. Teraz że pozwól mi zaświadczyć, że jesteś wybornym handlarzem, przedstawiasz mi bowiem doskonały interes. Chcesz odemnie odkupić żonę za trzydzieści tysięcy guldenów, ja zaś jestem wielki głupiec, że nie przyjmuję, ale to już moja rzecz. Moja wytrwałość w prowadzeniu procesu, powinna cię była przekonać, że mnie nie szło o pieniądze. W chwili w któréj żona wejdzie pod dach mój, zostaję zadowolniony, inaczéj będzie ciągła wojna między nami, choć byś mi wszystkie twoje oddał pieniądze. Pozwól mi jednak sobie powiedzieć, że bardzo niemi lekkomyślnie gospodarujesz. Co za myśl podarować trzydzieści tysięcy guldenów, kiedy jutro będzie się potrzebować dwa lub trzy razy tyle. Idź do domu Kajfurze, weź twoje sekretne rachunki i oblicz ileś zyskał w ostatnim roku, biorąc 12, 15 lub 20% — odciągnij od téj summy karę, jaką ci każe zapłacić sąd kryminalny i wtedy pomyśl, czy było roztropnie trzydzieści tysięcy od swoich własnych potrzeb odrywać.

Zakończył spojrzeniem pełnem szyderstwa i wzgardy, które utkwił w teścia, ten zaś pognębiony rzekł do niego niepewnym głosem:

— Co mówisz o wysokich procentach? któż mi dowiedzie żem więcéj brał nad to co prawem przepisane?

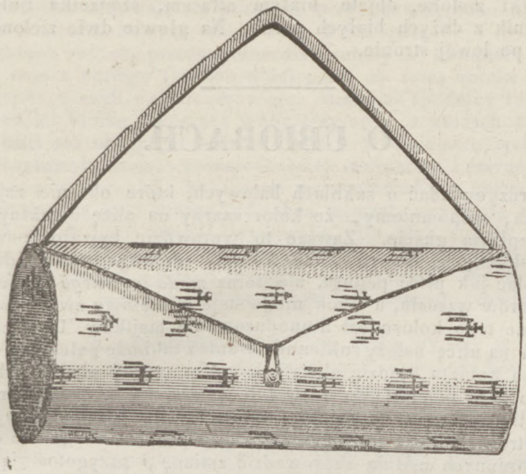
— Dawid, którego właśnie dziś uwięziono, miał coś podobnego powiedzieć, odparł z uśmiechem i przenikającym pogardą wzrokiem Schneeball.

Kajfur zbladł jak trup, stał chwilkę w odrętwieniu, potem chwycił za kapelusz i wyszedł, a szyderczy śmiech zięcia towarzyszył mu jeszcze na schodach.

Schneeball czuł się pomszczonym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu V, Kółka Domowego. 1867.



Woreczek podróżny zrobiony ściegiem wskazanym w poprzednim poszycie.

Objaśnienie ryciny mód.

Fig. 1. Suknia gładka z białego tiulu na białéj atłasowéj, w rzucik z zielonych aksamitnych liści, obszyta w około riuszą tiulową. Tak samo ogarnirowana bluzka i rękawki zarówno z tiulu zrobione, tunika zaś wycięta razem z gorsecikiem z atłasu lila, i obszyta grelotkami z białego kryształu. Brzeg gorsecika naszyty takiemiż, jak na sukni tiulowéj, zielonemi listkami. Z tychże listków utworzony pasek poprowadzony z boku na dół w kształcie girlandy podpinającéj tunikę. Aksamitne liście we włosach, naszyjnik z pereł z krzyżem i stosowne do niego kolczyki. Białe rękawiczki.

Fig. 2. Suknia o trzech spódnicach; na spodzie jest jedna gładka z żółtéj materji jedwabnéj, z przodu dozwalająca widzieć nogi, lecz z tyłu bardzo powłóczysta. Druga krótsza spódnica z żółtego tiulu, wycięta w duże, okrągłe zęby, i obszyta wstążką tego samego koloru. Trzecia także tiulowa i téj saméj co druga długości, ma w około szeroki obrębek, a podpięta jest z obódwóch stron, idącą od pasa, poniżéj zaś ułożoną w kształcie liścia koniczyny, wstążką żółtą. Gładki wycięty stanik z bertą, tiulową fałdowaną, przepiętą pośrodku piersi i na ramionach wstążkami. Rękawki krótkie z tiulu, objęte wstążką żółtą; pasek z tegoż koloru z długiemi szarfami. Na szyi wąziutka wstążeczka, parę kwiatów stosownych we włosach, rękawiczki białe.

Fig. 3. Suknia z białego tiulu ułożonego w buffy, pomiędzy któremi przechodzą pliski z białego atłasu, z wypuszczeniem atłasu różowego po obu stronach. Podobnaż pliska, garniruje u góry wycięty stanik z marszczonego tiulu. Rękawki w kształcie bufek. Gorsecik przedłużający się w krótką spódniczkę, naszytą rulonami z białego atłasu, oraz frendzlą białą i różową. Zarówno białe pliski obszywają długie szarfy z różowego atłasu, zakończone sutą frendzlą. Na szyi ozdoby z pereł, we włosach jedna duża róża, a z tyłu połączona rulonem kokarda z atłasowéj różowej wstążki. Trzewiki i rękawiczki białe, wachlarz perłami naszywany.

Fig. 4. Suknia z popeliny z takąż samą spódnicą, naszytą w około trzema szerokiemi taśmami; zwierzchnia suknia wycięta na każdym szwie w kańciasty ząb i stosownie do spódnicy ogarnirowana. Z tego samego materjału paletocik peplum, wystrojony haftem i taśmami, oraz kutasami na rogach. Pasek podobnież naszywany. Kołnierzyk i mankietki batystowe z gipiurą. Kapelusz czarny aksamitny, ubrany pod spodem dwoma rulonami z kolorowego aksamitu i odpowiednim do tegoż koloru kwiatem na wierzchu. Rękawiczki popielate.

1 Marca 1867 r.

Fig. 5, Długa gładka suknia z białego tiulu, obszyta riuszą z białej atłasowéj wstążeczki, zakreślającą łuki, czyli zęby płytkie. Z zielonego atłasu gorsecik i tunika podpięta pękiem kwiatów lila i obszyta białą atłasową plisą. Pasek i ramiączka gorsecika są również białe atłasowe. Kryształowe grelotki, zwieszają się koło paska i dołu tuniki. Rękawki zielone, objęte białym atłasem, szmizetka tiulowa marszczona. Bransolety i naszyjnik z dużych białych pereł. Na głowie dwie zielone aksamitki z pękiem lila kwiatów po lewéj stronie.

O UBIORACH.

Nim zaczniemy rozpowiadać o sukniach balowych, które obecnie zajmują pracownice magazynów naszych, wspomniemy, że kolor czarny na ulicę uważany jest za najstosowniejszy i w najlepszym guście. Zawsze to wprawdzie bywało, nawet w czasie panowania mody jaskrawych kolorów, że kobiety dobrego tonu idąc przez miasto, strzegły się wyglądać jak pstre papugi, ale teraz *moda czarnego* szczególniéj w Paryżu do wysokich rozmiarów wzrosła, a obok niego staje granatowy zwany marynarskim szafirem, z przyczyny że tego koloru jest umundurowanie majtków. Do odznaczających się dobrym gustem ubrań na ulicę należy sukienne ubranie z takimże paletotem obszytym astrachanem. Oszczędniejsza kobieta kładzie alpagę, bogatsza czarny gładki fular, lub inną materję jedwabną. Do tego paletot puszczony lub wcięty, na co jednak, robi pewien francuzki dziennik zastrzeżenie, że trzeba mieć figurę młodą. ,,Kobieta mająca w pasie więcéj niż 60 centymetrów (25 cali) obwodu niech nigdy paletota swego nie opasuje paskiem.“

W okryciach wiosennych usiłują zaprowadzić zmianę i przygotowują więcej burnusów rotond i. t. p. niż paltotów z których równo obcięte u dołu stanowczo są wygnane, a przynajmiéj muszą być choć frendzlą obszyte, po większéj części zaś wycięte w zęby, w kanty, rozcięte, zakończone w rogach kwastami i t. p. W magazynie p. Penkali znajdują się piękne burnusy z tak zwanego sukna aksamitnego, z kapturkiem podszytym wewnątrz jedwabną materją, kolorem zastosowaną; z takiejże saméj materji wyłogi otaczają otwory na ręce; dołączone są małe rękawki, które można użyć według woli lub nie.

Ma to być jeden z świeżych krojów okryć dzisiejszych, ale nie potrzebujemy przypominać, że już niegdyś był znany i używany. Powtarzamy tu raz jeszcze że o sukniach fałdowanych u góry nie ma już mowy, robią je chyba dla kobiet bardzo w wieku posuniętych, lecz wszystkie strojnisie, poprzerabiały już swoje suknie na ścinane od góry. Oszczędne kobiety narzekają w prawdzie i żałują tak krajać swoich pięknych jedwabnych sukien, ale jak to zwykle bywa, skończą tak jak tamte zaczęły, zwłaszcza że moda ta stanowczo się utrwala, suknie się coraz to zwężają i jeżeli by za dziesięć lat dopiero zaczęły się poszerzać, to cóż już wówczas, choćby najstaranniéj zachowane, materje będą warte, przy dzisiejszej ciągłej zmianie deseni i kolorów. Balowych sukien nie wiele tu opisywać będziemy, gdyż je czytelniczki łatwiéj z ryciny mód zrozumieją.

W tych dniach zwróciła uwagę na jedném zebraniu suknia pani W. wyrobiona w magazynie p. Włodkowskiéj, z prześlicznego koloru błękitnego atłasu. Na niéj udrapowana tunika koronkowa, biała podpinana konwaljami z pereł; na głowie takież same konwalje, na szyi zaś perły z diamentami. Już to w tym roku atłas niezmiernie używany; dzięki jego połyskowi, mniéj się wydaje na przyozdobienie sukni która może być albo wcale gładka, albo skromniéj już wystrojona. Nie możemy jednak powiedzieć abyśmy gładkie suknie balowe, gdzie kolwiek bądź widzieli. Panie mające z dawna jeszcze koronkowe lub blondynowe falbany, chustki, szale oddają je do magazynów, dla zastosowania ich na tuniki, peplumy, zęby, niezmiernie ubierające całość sukni. Po nad niemi, dodaje się rusza z wycinanego w ząbki tarlatanu, podpinają się tu i owdzie kwiatami i już suknia robi się nader strojną. Rulony z atłasu wielce są także używane do ozdób, tak przy sukniach wełnianych, jak przy jedwabnych lub lekkich. Widzieliśmy w magazynie pani Adeli suknię, z białego tarlatanu o dwóch spódnicach, dolna ogarnirowana wodą w kontrafałdy z tarlatanu wystrzyganego, druga w wielkie zęby śpiczaste, wycięte w taki sposób, że ostrze zęba wypada na każdym szwie, są to więc jakby łuki sklepienia. U brzegu i na każdym szwie, szły trzy rulony z pluszu, które swą matową białością, nadawały nie zwykły pozór, całemu ubraniu. Do tego berta obszyta koronką, stanowiąca zarazem rękawy; we włosy zaś miał być wpięty jeden kwiat niebieski. Większa część sukien, któreśmy tam oglądały, miały niby spódnice z białego tarlatanu, suto nagarnirowane wodami i riuszami, same zaś suknie jedwabne nie były niczem u brzegu obszyte, tylko miały tak nieznacznie zrobiony obrąb szeroki, że to wyglądało, jakby były podniesione tylko dla okazania białéj spódnicy. Dodajemy tu, że były zarówno z bia-

łemi krótsze z przodu, a z tyłu znacznie przedłużone. Jedna z takich srebrzysto perłowego koloru miała z brukselskiéj koronki nakreśloną tunikę. Nad tą falbaną szła riusza z tarlatanu nieco ciemniejszego. Na rękawkach zaś kokardy z aksamitki mocno różowéj z końcami, które się aż do połowy sukni zwieszały, powabnie odbijając na tle jéj jasném. Kokardy podobne nazywają się *paziami*, przypominają bowiem te, które niegdyś paziowie nosili na ramieniu, koloru swoich dam, z ich cyfrą.

Jedna z piękniejszych sukien, przeznaczona dla hrabiny Ł. nie miała wspomnianéj, białéj spódnicy, lecz cała z żółtego (bouton d'or) *poult de soie*, ubrana była u dołu plisą z tarlatanu ciemniejszego czyli pomarańczowego. Miała na spódnicy zakreśloną czarnemi koronkowemi falbanami tunikę, tworzącą jakby trzy zęby, z których dwa węższe śpiczaste na przodzie, trzeci zaś okrągły i szeroki z tyłu. We wnętrzu tych zębów od pasa szły kokardki z długiemi końcami z pomarańczowéj wstążeczki i czarnéj aksamitki. Stanik podobnież ubrany czarną koronką, kokardami na ramionach, u górnego zaś jego brzegu jako też i na pasie naszyta była czarna jedwabna taśmarz, pepysznie haftowana czarnym dżetem, co wielki błysk przy świetle wydawało. Do tych sukien wyrabiają często, stosownego koloru naszyjniki, złożone np. z zębów aksamitnych obszytych sznureczkiem złotym, i połączanych grubemi perłami, białemi lub złotemi. Są także u pani Adeli krzyże okrągłe z aksamitu pąsowego; niebieskiego lub czarnego, zawieszone na takiegoż koloru wązkiéj aksamitce.

Obok tych firm znanych powszechnie, że dają tylko wyroby w najlepszym guście i każącym sobie też lepiéj płacić za to, że mogą być przewodnikami dobrego smaku, grupują się firmy skromniejsze, nowe, powolniejsze na wszystkie oszczędne wymagania kupujących, starające się przynęcić taniością. Takim jest magazyn pani Aureli o którymeśmy wspominali, mieszczący się na Krakowskiém-Przedmieściu w lokalu który przez lat kilkanaście, panny Kuhnke dały poznać żeńskiéj naszéj publiczności, i niedaleko ztamtąd, wprost kościoła Śtéj Anny, pani Emili Spinner, gdzie także wyrabiają suknie, kapelusze, śliczniutkie negliżyki i sprzedają bardzo piękne kwiaty.

We wszystkich magazynach drogość roboty sukni zależy od tego, co do wystroju było użytem. Zdarzają się suknie, których materjał kosztował np. 20 rs., a robota 30, jeżeli do ich wystroju użyte było dużo łokci aksamitki, guziki kosztowne, koronka choćby fałszywa, lub taśmy dżetem naszywane. Te ostatnie szczególniéj są bardzo drogie. Fason, czyli sama robota sukni zwyczajnéj, liczy się zwykle od 2 do 4 rubli. Balowe, które rozlicznemi garnirunkami swemi zabierają dużo czasu, płacą się więcéj.

Dla rozrywki czytelniczek mieszkających na prowincyi przyłączamy opis kilku kostiumów wykonanych w magazynie pani Adeli.

Kostium przedstawiający *godziny nocy*. Na spódnicy białéj tarlatanowéj suknia krótsza czarna aksamitna, obsypana złotemi gwiazdami *en relief*, u dołu obszyta medalionami białemi ze złotem, na których były liczbami rzymskiemi godziny, jak na zegarach; stanik czarny aksamitny, wzłote gwiazdy, welon czarny także w gwiazdki, i półksiężyc z gwiazdą z matowego złota; naszyjnik z aksamitu czarnego z gwiazd i półksiężyców, pończochy i buciki czarne; w ręku wskazówki zegarowe.

Kostium przedstawiający *Noc*. Suknia przezroczysta czarna, długa jak noc zimowa, obszywana złotemi gwiazdami i takiż stanik; rękawki krótkie zakończone szerokiemi na pół ćwierci łokcia opaskami ze złota matowego, połączonemi łańcuszkami złotemi z bransoletami znajdującemi się na rękach; welon czarny w gwiazdy złote sięgający do ziemi i półksiężyc z matowego złota w formie djademu; na szyi kolje z pereł złotych i dżetu.

Kostium *du petit chaperon rouge*, z powiastki o czerwonym kapelusiku. Spódnica biała *poult de soie* w pasy niebieskie atłasowe, na niéj druga kaszmirowa ponsowa podpięta do około; staniczek czarny aksamitny ponsowo obszyty, szemizetka z rękawami biała gazowa, kapelusik okrągły z pąsowego aksamitu, na szyi krzyżyk *Jeannette*.

Kostium wieśniaczki *Alzacyi*. Spódniczka *poult de soie* biała w pasy czarne aksamitne, na niéj druga *poult de soie* różowa podniesiona z obu stron czarnym aksamitem; staniczek na *poult de soie* różowem, czarny aksamitny, szemizetka z rękawami biała gazowa; na głowie kokarda czarna aksamitna z długiemi końcami; trzewiczki różowe.

Kostium z *mazura Niebieskiego z Gizelli*. Na białéj tarlatanowéj spódnicy w lampasy złote, niebieska atłasowa obszyta puszkiem łabędzim w duże zęby; gorsecik takiż równie puszkiem obszyty, zdobny w perły i złoto, koszulka tiulowa biała w złoty rzucik: na głowie czapeczka karmazynowa aksamitna z piórkiem i spinka z pereł; buciki niebieskie atłasowe obszyte puszkiem.

PRZEPISY OGRODNICZE.

Pielęgnowanie Pomidorów

Najlepszy sposób pielęgnowania pomidorów, aby przy naszem krótkiem lecie otrzymać z nich korzyść, jest następujący. W połowie miesiąca lutego zasiać je w wazonie, w cieplarni (kto ją ma) lub ogórkowym inspekcie; gdy zejdą, każdy flanc przesadzić do osobnego wazonika, i z początku utrzymywać ciepło, kiedy zaś podrosną, wazoniki przenieść do budowli chłodniejszéj, aby oswoiły się z powietrzem, i utrzymywać blisko okna aby nie zbyt cienko rosły.

Po 13 maja jak obawa mrozów minie, przesadzić do gruntu, dobrze uprawionego, wystawionego na działanie słońca, a jeżeli można pod murem lub parkanem, w odległości dwóch łokci jeden od drugiego. Przez lato wycinać gałęzie nie mające zawiązków, aby krzak rozsadzony miał więcéj przystępu powietrza i słońca; tak utrzymane dadzą pożądany rezultat, a jeżeli wcześnie mrozy w jesieni nastąpią, resztę niedojrzałych owoców zebrać, i utrzymać gdzieś w ciepłem miejscu rozłożone, a prawie wszystkie wyleżą się, nabiorą farby właściwéj, i zdatne będą do użycia.

Pielęgnowanie Brokułów.

Pomiędzy różnemi gatunkami jarzyn, brokuły są jednym z przyjemnych i delikatnych pokarmów, chociaż u nas nie są jeszcze tak upowszechnione jakby należało.

Brokuły sieją się jak kalafiory i w tych samych czasach, dla wyhodowania pierwéj flanców; na przesadzenie wybiera się zagony, z dobréj i tłustéj ziemi, zasłonione od północy. W wyborze rosady należy być bacznym, ażeby ani zbyt słabych, ani zbyt mocnych flanców nie wybierać, ponieważ słabe nie dobrze rosną, żółkną i stają się pastwą robactwa; mocne zaś, prędko idą w łodygi kwiatowe. Na przygotowanym zagonie zasadzać flance najmniéj na pół łokcia jeden od drugiego i tak głęboko, aby tylko serce rośliny widzianem było, ziemię naciskać należycie, ażeby korzenie dobrze osiadły, a po za sadzeniu w czasie suszy tak obficie polewać jak kalafiory; sadzą się dla tego zaś obszernie, że krzaki formują koronę szeroką najmniéj do łokcia. Roślina ta dostarcza przez lato delikatnéj ogrodowiny, na którą nie tylko liście, ale i boczne gałęzie mogą być brane, a które ta roślina obficie wydaje, liście trzeba obcinać z tą uwagą, aby u samego spodu kilka liści zostawało, a wówczas nowe gałęzie wyrastają do użycia przez całe lato; brokuły rosną aż do późnej jesieni; przez ciągłe zaś obcinanie dochodzi ta roślina do czterech stóp wysokości, i żaden rodzaj kapusty w gospodarstwie nie dostarczy tyle materjału pożywnego, jak brokuły, a i na zimę mogą być zachowane jak kalafiory. Kwiaty brokułów różnym sposobem używać można i przyprawiać jak kalafiory; z głąbików zaś i gałęzi, zdejmuje się wierzchnia skórka, i łodygi tak się przyprawiają jak szparagi, i ztąd téj roślinie dano nawet nazwę kalafiorów szparagowych. *J. Poznański.*